TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 46. Chicago, Ill., Czwartek, 17-go Listopada, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

HRABIA I NIEDŹWIEDZIARZ.

PRZEŁOŻYŁA.

PAULINA Z L. WILKOŃSKA.

(Dokończenie).

— To bardzo jest nie dobrze, mój kochany! książę głową pokręcił. — Zresztą i widać po tobie, że innego jesteś pochodzenia, czego dowodzi i twoje względem mnie postępowanie. Gdy niedźwiedziarz w mojej będzie mocy, to może i dowiemy się czegoś o rodzinie twojej i miejscu urodzenia. Ale jesteś głodnym zapewne, każę tobie coś podać.

Książę zadzwonił. Ukazała się stara kobieta i kazał jej dla Feliksa przynieść poczęstne. Niezadługo przyniosła mu pieczeń na zimno, chleb, masło i butelkę wina. Zgłodniały rzeczywiście Feliks pożywił się nieco.

Po chwili nadeszło czterech parobków, jak to książę był rozkazał. A Paweł oświadczył, że sześciu w parku blisko pałacu w gęstwinie na stanowisku zostawił. Książę dał im broń, ukrył ich w sypialni swojej, a sam z Feliksem w mieszkalnym pozostał pokoju.

— Więc o pół do pierwszej mieli wyruszyć, jak to mówiłeś — zaczął książę znowu. — Teraz jest pierwsza. Mamy zatem jeszcze z godzinkę czasu. Potrzeba jednak światło zgasić, ażeby ich nie odstraszyć. Będą sądzili, że wszyscy śpią w najlepsze.

Światła zgaszono, a książę zasiadł z Feliksem za dużym parawanem, zkąd wszystko widzieć mogli, będąc niewidzianymi.

Krótko przed drugą posłyszano szmer jakiś w sieni, tuż przy pokoju, w którym zostawał książę z Feliksem. Zwolna drzwi

otworzono i wsunęły się dwie postacie, w bladem świetle księżyca widome.

— Jesteśmy w miejscu i wszystko w porządku poszepnął Iwan. — Tam na prawo są drzwi do sypialni. Żeby tylko dziad ten spał mocno.

— Czy śpi lub nie śpi, wszystko mi jedno! odrzekł Petrowicz. — Gdyby się chciał bronić lub krzyczeć, to i od czegoż nóż ostry. Zamilknąłby od razu na zawsze. Idźmyż, Iwanie! Skarby nas nie miną!

Doszli z cicha na palcach do drzwi sypialni otworzyli je ostrożnie i weszli. W chwili potem usłyszano krzyk, wystrzał z pistoletu, upadek czegoś ciężkiego na posadzkę i głuche jęki. Książę zapalił świecę i pobiegł z Feliksem na miejsce walki. Petrowicz i Iwan leżeli skrępowani na ziemi Twarz pierwszego krwią była oblana, bo wystrzelona kula zadrasnęła mu czoło. Gdy zobaczyli Feliksa, rzucali się wściekle, wydając przekleństwa, że aż zadrżał z przerażenia.

— Nie lękaj się niczego! — wymówił książę — nie zaszkodzą oni już nikomu. — Czyteż wy wiecie — zwrócił się do uwięzionych — że mogę was na całe życie do kopalń w Nerczyńsku posłać?

— Miłosierdzia! łaski! jęczeli złoczyńcy, bo wiedzieli dobrze, że książę prawdę im mówił. Wpływ jego był tak wielki, że tę groźbę bez zwłoki mógł spełnić.

Mogę miłosiernym być dla was, lecz pod jednym tylko warunkiem — odrzekł książę. — Wyznajcie, kto jest ten młody człowiek — wskazując na Feliksa — i jakim sposobem pod waszą dostał się władzę. Ale gadajcie prawdę, bo inaczej czeka was Nerczyńsk.

— O jaśnie oświecony książę, opowiemy wszystko! — zagadał Iwan szybko. — Jest to mój siostrzeniec, a matka jego była szafarką u księcia Demidowa. Rodzice chłopca umarli gdy miał lat pięć, więc z litośc wziął sierotę do siebie. Ojciec nazywał się Sztajn, matce było imią Zuzanna. Pewnie on ich pamięta jeszcze.

Feliks zdumiał się rzeczywiście, posłyszawszy te imiona, tyle znane mu w dzieciństwie, i spojrzał na księcia dziwnie dotknięty.

— No jakżeż — zapytał się książę — czy masz jakie przypomnienie?

— Istotnie, że mam — odrzekł Feliks. — Te imiona nie są obce mojemu sercu, a teraz tłomaczę sobie także marzenie o zamku jakimś i parku.

— Czy możesz przysiądz na to, coś powiedział? — zapytał książę niedźwiedziarza.

— Zapewne, że mogę! — odrzekł Iwan.

— To i puszczam was bezkarnie! — wymówił książę. — Lecz ten młodzieniec zostanie przy mnie, wy zaś wynoście się co rychlej a nie pokażcie się tu nigdy więcej. Jeżeli mi raz jeszcze popadniecie w ręce, to przysięgam, że was zaszlę do kopalń syberyjskich. Rozwiążcie ich! A teraz dalej nogi za pas!

Złodzieje byli szczęśliwi że ich puszczono. Ludzie księcia odprowadzili ich aż za bramę, a potem puścili ich wolno.

— Otóż i nie udało się! — wymówił Iwan, gdy zostali sami — lecz zemściłem się przynajmniej na zdrajcy. Nie dowie on się nigdy czyim jest synem!

Człowiek sądzi. Bóg rządzi! dawne niesie przysłowie, to i zobaczymy co stanie się dalej.

V.

Odpłata.

Upłynęło znowu półtrzecia roku, a nic w tym czasie szczególnego nie zaszło. Feliks pozostał przy księciu i z dniem każdym większe sobie u niego zjednywał względy. A zasługiwał też na nie wdzięcznością i przywiązaniem, którego ciągłe dawał dowody, że książę aż niemal z ojcowskiem dla niego był uczuciem.

Poznawszy brak wszelkiej nauki w młodzieńcu, którego pod swoję wziął opiekę, książę przybrał dobrego nauczyciela, który w najpotrzebniejszych kształcił go wiadomościach. Uwolniony z jarzma, pod którem zostawał dotąd, duch Feliksa ocknął się niebawem, dawniejsze obudziło się uzdolnienie, i w krótkim czasie zadziwiające poczynił postępy. Łatwość, z jaką niemieckiego nauczył się języka, naprowadzała na domysł że niedźwiedziarz skłamał niezawodnie, a

Feliks niemieckiego jest pochodzenia.

Dnia jednego w listopadzie odebrał książę list, który w niezwykłą wprawił go zadumę: przez dzień cały był zamyślonym i mało mówiącym. Wieczorem dopiero odezwał się do Feliksa poufnie:

— Przyjaciel mój, baron Walbek, mieszkający w części Polski, należącej do Prus, prosi, bym mu dwadzieścia tysięcy talarów pożyczył na kupno dóbr, bardzo korzystne. Pożyczyłbym mu chętnie i dwa razy tyle; zachodzi tylko trudność, jak te pieniądze mu przesłać. Zwyczajnego posłańca z taką sumą wyprawić nie chcę, ob sam jestem za stary, by na taką narażać się podróż. Jestem ztąd w prawdziwym kłopocie, a jeszcze pisze baron, że interes nagli.

— Książę mój — wymówił Feliks, a oczy jego zajaśniały — czy ja nie mógłbym tym być posłańcem? Na wierność moję możesz książę pan liczyć.

— Budowałbym na niej i kościół — uśmiechnął się książę uradowany — nie chciałem ciebie tylko na tak złą porę w podróż wyprawiać.

— Jestem przecie zahartowanym na wszelkie zmiany powietrza - odrzekł Feliks — rozkaż tylko książę pan, kiedy mam wyjechać. Jestem gotów każdej chwili.

— To więc każę ci zaraz jutro wszystkie wygotować legitymacye, i będziesz mógł w imię Boże pojutrze wyjechać. Każę tobie najlepszego konia dać ze stajni, a ty poradź się Pawła pod tym względem.

Dnia drugiego puścił się zatem Feliks na dzielnym koniu ukraińskim w onę podróż. Miał ubiór ciepły, a poza sobą przytwierdzony do siodła tłumok, w którym były pieniądze. Przypasał szablę, a w kieszeniach przy siodle tkwiły dwie pary pistoletów. Broniąc tą umiał władać doskonale, a książę żądał, by zabezpieczył się od złodziei i włóczęgów. Feliks był śmiały, odważny i nie lękał się niczego; polegał na przytomności, swojej sile młodzieńczej i na doskonałości dzielnego wierzchowca.

Bez troski, raźno i swobodnie, przebywał rozległe obszary pola i lasy. Dnia trzeciego wieczorem zatrzymał się w porządnej wiosce, którą mu książę, jako dobry polecił nocleg, Był to zajazd dość lichy, ale gospodarz uprzejmy i bardzo poczciwy; oddał mu też najlepszy pokoił, a konia umieścił, o ile mógł, wygodnie. Niewymagającemu Feliksowi zresztą łatwo było dogodzić.

Pokrzepiony zbudził się nazajutrz i zaraz w dalszą zabierał się podróż. Był właśnie przy koniu swoim w stajni, gdy gospodarz do niego przystąpił.

— Panie — odezwał się z miną pełną obawy — niebo zachmurzone, zerwie się wicher i będzie zamieć śnieżna, to i lepiej byłoby zatrzymać się tutaj przez dzisiaj. Proszę, nie odjeżdżaj, panie! Droga wiedzie przez odłogiem leżące pola, i wioski daleko jedna od drugiej. Pozostań więc panie!

— Nie mogę, mój gospodarzu poczciwy, bo mam obowiązek pospieszać i nie zatrzyma mnie te trochę wiatru lub śniegu.

— Pan nie wiesz, jakie tu niebezpieczne na tych równinach bywają śnieżyce. Zlituj się panie sam nad sobą! Gdy śniegi zawieją, to i niepodobna śladu drogi jakiej odszukać, bo wicher białemi płachtami oczy zarzuca.

— Dziękuję wam za troskliwość! — odrzekł Feliks obojętnie — lecz jestem i do najgorszego nawykły powietrza, mam kompas w kieszeni, doskonałego stepowca, to i drogi nie zmylę. Życzycie mi dobrze, panie gospodarzu, wierzę, ale obowiązek przedewszystkiem.

Pożegnał gospodarza uprzejmie, dosiadł ukraińca i puścił się tak szybko w północno-zachodnim kierunku, że już i nie dosłyszał powtórzonej przestrogi poczciwego gospodarza.

Po chwili zwolnił w biegu i spojrzał po niebie badawczo. Wyglądało bardzo złowrogo. Cały niebogrąg jedna gęsta ciemna zawlokła chmura. Powietrze było zimne i ostre, ale dotąd nie wietrzne wcale. Niziny mgły nieprzejrzane zaległy.

— Niepocieszające te wszystkie oznaki — pomyślał sobie Feliks — lecz mam tylko mil pięć do wskazanego mi noclegu, to i przebędę je za łaską Bożą. Wypoczęliśmy oba, ja i mój wrony, to i podołamy wszystkiemu. Dalejże więc w imię Boże.

Ukrainiec żywo podążył. Po dwóch godzinach szybkiego biegu przystanął nagle, podniósł kształtną głowę i wietrzył po prze-

stworzu; wstrząsnął grzywą parskając i zawrócił, jak gdyby chciał wstecz podążyć na nocleg, zkąd przybyli. Ale temu Feliks przeszkodził, szarpnął za cugle, spiął go ostrogami i skierował naprzód. Rumak dzielny opierał się jeszcze, lecz potem stał się powolnym swojemu jeźdźcowi.

Nie upłynął kwadrans, gdy Feliks nagle przejmujące poczuł zimno, a szum głuchy zawył od strony północno-wschodniej. Obejrzał się i zobaczył ogromną masę białawą, która niemal połowę zagarniając nieba, jakoby ruchoma toczyła się ściana. Szum z każdą zwiększał się chwilą. Po przestwo rzu śnieżne wirowały płatki. Wicher zahuczał i z całą gwałtownością pomiatał. Zimno lodowate oddech mu zaparło. Wreszcie śnieg ogromnemi szmatami padać począł tak, że i samotnemu jeźdźcowi zasypianem groził.

Feliks z przerażeniem spojrzał na tę rozuzdaną walkę natury. Przez chwilę zostawał jakby ubezwładniony, potem uczuł konieczność ratowania się, zawrócił stepowca i z wiatrem pogonił w stronę, którą zrana był opuścił.

Ukrainiec poznał również dobrze grożące niebezpieczeństwo, i w szalonym pędzie rzucił się naprzód po równinie, całkiem już teraz białą i gęstą pokrytej przysłoną. Nie potrzebował zachęty żadnej, ani ostrogi ni bicza, by w szalonym nie ustawać biegu, zawsze naprzód i naprzód. Feliks ani mógł rozróżnić dokąd go porywa, bo śnieg sypał tak gęsto, że nic przed sobą dojrzeć nie potrafił. Puścił cugle koniowi, których w skostniałym ręku utrzymać już nie mógł.

I ciągle a ciągle pędzili dalej a dalej, jak gdyby wichrem gnani, który hucząc, szumiąc, jęcząc i świszcząc, po zaśnieżonej uganiał płaszczyźnie, i z szybujących z całą gwałtownością obłoków, bezprzestannie coraz większe śniegu wyrzucał massy.

Według obliczenia Feliksa powinni już byli pożegnany zrana zajazd dosięgnąć — i straszny jemu nasunął się domysł, że może, niedojrzawszy go w zamieci, przelecieli obok. To i cóżby stało się z nimi; gdyby nie znaleźli schronienia? Czuł już jak ciepło z jego ustępowało ciała, że w nim żyły lodowacieć poczęły.

Ukrainiec dotąd był nieznużonym, pędził jak cień czarny wśród tej zamieci. Ale jakżeż długo siły wystarczą mu jeszcze, by puszczać się w zawody z wichrem rozhukanym?

Po chwili też Feliks uważał już, że rumak szlachetny słabnąć poczyna. Cwał gwałtowny zamienił się w kłus ostry — a potem w krok wolny. Zdawało mu się, że wicher zwalniał i że lodowe złagodniało zimno. W tem nagły okrzyk radości z jego wydobył się piersi; zobaczył, że przed niemi był las, który zapędy wichru odpierał! Leżało tutaj i o wiele mniej śniegu, jak w polu otwartem. Instynkt wrodzony pokierował zmyślnem zwierzęciem ku lasowi, który dość bezpieczne nastręczył im schronienie.

Koń i jeździec wysapali się już po chwili, sił zaczerpując świeżych. Feliks z głębi duszy wszechmocnemu Bogu za ten miłosierny dziękował ratunek.

W tem doleciało go z oddali głośne skowyczenie psa i wielką sprawiło mu radość, bo przypuszczał słusznie, że mieszkania ludzkie muszą być niedaleko, wieś jaka, zamek, a choćby i chata. Odgłos zbliżał się nawet — na który stepowiec zadrgnął straszliwie, parskał i rzucał się dziko.

— Oho, cóż tobie mój dzielny Amorze? — zagadał Feliks do niego i głaskał go pieszcząc. — Czy też ciebie psa szczekanie przestrasza? Nie troszcz się, ja jestem przy tobie.

Koń go zrozumiał i bez strachu postępował dalej. Lecz gdy po niewielu minutach szczekanie to zblizka słyszeć się dało, zadrżał z przerażenia, stanął dębem i cwałem poskoczyć chciał dalej. Jeszcze Feliks go nakłaniał, gdy koń przystanął nagle, jak gdyby skamieniał, rozparł przednie nogi, nagiął karku i pochylił głowę. W tej chwili Feliks zobaczył dwa wilki ogromne, które stały o kroków czterdzieści i krwawe w niego wlepiły ślipie.

Szybko wydobył pistolet i wymierzył; w tejże chwili dzikie bestye rzuciły się na drżącego stepowca. Nagle padły dwa wystrzały i obadwa wilki potoczyły się na ziemię. Strzelił do nich raz wtóry, by już nie podniosły się więcej — a potem przerażone-

go konia do dalszego zachęcał pochodu.

Minęło godzin kilka, a Feliks i śladu żadnego zabudowania jeszcze dojrzeć nie mógł. Już przypuszczał, że dnia resztę, a może i noc całą w lesie będzie przebyć musiał, gdy w tem, w miejscu więcej otwartem, zobaczył kupkę śniegu a przy niej punkt jakiś czarny. Niebyłby na to zwrócił nawet uwagi gdyby nie koń, który się znowu zląkł i w bok uskoczył. Feliks obejrzał się zdziwiony i rozpoznał, że z pod tej kupy śniegu koniec buta wyziera.

— Boże mój! Może człowiek tu leży, którego zamieć spotkała! zawołał mimowolnie i z konia zeskoczył, by się bliżej przypatrzeć.

Odgarnął śnieg i z przerażeniem zobaczył zemdlonego mężczyznę — znanego mu dobrze! — Był to dawniejszy jego pryncypał, niedźwiedziarz Iwan Iwanowicz! Otóż leżał przed nim blady śmiertelnie, wychudły, znędzniały, z oczami zapadłymi — istny obraz śmierci!

Chwilowa nienawiść i oburzenie zadrgnęły w sercu Feliksa, lecz i zaraz lepszemu ustąpiły uczuciu.

— Nie! — rzekł sobie w duszy — nie mogę tego człowieka pozostawić tutaj na pastwę wilków, albo żeby zmarł niewątpliwie, jakkolwiek okrutny był dla mnie. Bóg miłosierdzie okazał na mnie, więc i ja ulituję się nad bliźnim, chociaż on mi wrogiem był zawsze!

Ukląkł przy Iwanie, natarł mu skronie winem, które w podróżnej miał torbie, wpuścił mu przez zęby tegoż kropel kilka i doznał prawdziwie uszczęśliwiającego uczucia, gdy zemdlony po kilku chwilach oczy otworzył i nieco przytomności odzyskał. Podniósł go z ziemi, posadził go z wielkim trudem na koniu przed sobą i przymocowawszy do siodła, szparko przez las ruszył.

Po jeździe półgodzinnej las przerzedzać się zaczął i na otwarte wyjechali pole. Wicher i śnieżyca uciszyły się w tym czasie zupełnie. Rozjaśniło się niebo i w czystem przestworzu ujrzał Feliks w niewielkiej oddali zamek piękny, zabudowania różne i wioskę, z której kominów snuły się dymy w uciszonem powietrzu. Z rozkosznem uczuciem powitał te siedziby ludzkie, gdzie mógł znaleźć ratunek dla Iwana a wypoczynek dla siebie i dla konia.

Najbliższym był zamek, więc zatrzymał się przed bramą i zastukał. Otworzył furtkę starzec zgarbiony i powitał przybyłych. W krótkich słowach opowiedział mu Feliks o podróży swojej wśród wichru i zamieci, szalonej, na oślep i jak znalazł skostniałego Iwana w lesie. Starzec przywołał kilku parobków, którzy Iwana z konia zdjęli do zamku wnieśli. Konia zaprowadzono do stajni, a starzec rozkał, by jak najtroskliwsze o nim miano staranie. Poczem wprowadził Feliksa do pokoju, pokrzepił go jedzeniem i starem winem.

Z współczuciem patrzał na dorodnego młodzieńca, którego rysy szczególnie do jego przemawiały serca. Ale, zanim zdołał zadać mu pytania jakiego, przybiegł jeden ze służby i powołał ich do Iwana. Udali się obadwaj natychmiast. Zastali go siedzącego na łóżku, a zupełnie uprzytomnionego. Gdy zobaczył Feliksa zadrżał, pobladł i zawołał.

— O miłosierny Boże! Więc to ten młodzieniec uratował mi życie?

— A ten, odrzekł starzec — zawdzięczasz mu wszystko!

Niedźwiedziarz głośnym wybuchnął płaczem, rzucił się na ziemię i objął nogi Feliksa.

— Bóg nas tu sprowadził obydwóch! — zawołał z jękiem namiętnym — Bóg sprawiedliwy! Bóg niezbadany w wyrokach swoich!... Palec Boży miejsce na spotkanie nasze naznaczył! Bóg ciebie nagradza, żeś był litościwym dla przestępcy! Feliksie, nie jesteś siostrzeńcem moim, lecz hrabią Normanem! Ten zamek, gdzieśmy gościnę znaleźli, to zamek twojego ojca!

Starzec i sędziwa szafarka krzyknęli jakby głosem jednym z wzruszenia i szczęścia, i rzucili się ku młodzieńcowi z głośnym płaczem i pieszczotami.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął stary Sztajn, załamując dłonie — wstąpię teraz spokojny do grobu! — i płakał jak dziecko.

— To on! to on! nasz paniczek! Nasz Felcio! O dzięki ci Boże! Wielki, Wszechmocny Ojcze! — stara Zuzanna wołając na

kolana upadła.

— Chodź teraz do ojca! Chodź do ojca! — wymówił Sztajn, biorąc zdumionego młodzieńca pod rękę, który pobladł z wzruszenia; usta jego drżały, a łzy przepełniły oczy.

Weszli do pierwszego pokoju.

— Zatrzymaj się tutaj, Felciu! odezwał się Sztajn nagle i przystanął. — Uprzedzę hrabiego... bo nagle szczęście zabija czasem! Poczekaj tu chwilę! ot wybacz, że przemawiam do ciebie, jakby do małego jeszcze Felcia!

Feliks rozrzewniony, w milczeniu ucałował starca.

Sztajn do dalszych pobiegł pokoi. Feliks ukląkł; wzniósł ducha do Boga — lecz z nadmiaru szczęścia w gorącej modlitwie wypowiedzieć nie mógł wszystkiego, co czuł w sercu.

Posłyszano wykrzyk głuchy!.... I nastąpiła scena, której żadna mowa ludzka wypowiedzieć, żadne pióro skreślić nie potrafi! — Ojciec tęsknym bolem i zgryzotą przez dlugie lata trawiony, ukochanego odzyskał syna! Młodzian, tułacz poniewierany, nędzny, włóczęga, sierota nieszczęśliwy, znalazł ojca kochającego, dom, przyjaciół wiernychi dostatek! — Łzy szczerej podzięki radości i szczęścia, jak te, które płynęły z oczów hrabiego Roberta Normana, pewno nigdy nie zostały jeszcze przelane!

. . . .

Noc zapadła. Iwan wyspowiadał się hrabiemu ze wszystkiego: opowiedział namowę i przekupstwo Albina, porwanie Feliksa — i przyznał się do grzechów lat tylu, przepędzonych w występku i zbrodni. Rozpowiadał dalej o najściu na zamek księcia Woroncowa — i dalsze następstwa.

— Odtąd ścigało mnie nieszczęście po nieszczęściu — mówił dalej. — Pozdechały mi zwierzęta moje. Petrowicza niedźwiedź udusił, a Szaszka mnie opuścił. Pozostałem sam jeden. Wróciłem tu zatem i poszedłem do hrabiego Albina, by mi zapłacił wedle umowy za krew zaprzedaną zbrodniczo. Z szyderstwem wypędził mnie z domu i grosza nie dał jednego. Taką zawsze bywa nagroda występku! Przejęty nienawiścią i żądzą zemsty postanowiłem pójść do Sokolnicza i wyznać hrabiemu wszystko. W drodze zaskoczyła mnie śnieżyca, a wicher powalił o ziemię. Utraciłem przytomność. Bóg zesłał pokrzywdzonego przezemnie młodego hrabiego.... inaczej nie żyłbym już teraz, a zakończył żywot w najcięższym grzechu śmiertelnym. Otóż, panie hrabio, wyspowiadałem się ze wszystkiego! Czyń ze mną co zechcesz, oddaj mnie zasłużonej karze! Poddam się wyrokowi każdemu ze skruchą i pokorą.

Upłynęło dni kilka, zanim hrabia Robert z nadmiaru szczęśliwości uprzytomnieć się podołał. — Feliks uskutecznił polecenie księcia Worończowa i napisał mu obszernie o wszystkiem co zaszło, o całem szczęściu swojem. Obadwaj z ojcem złożyli mu najserdeczniejsze podzięki i przyrzekli, że go w krotce odwiedzą, co też nastąpiło.

W tydzień po powrocie Feliksa w progi ojcowskie, udał się hrabia Robert Norman z synem, Sztajnem i Iwanem do Goczyna, by widokiem odzyskanego Feliksa i wejrzeniem swojem występnego ukarać Albina.

Lecz na niego już własne sumienie straszliwy wydało wyrok — i wykonał go w szale szkaradnej i bezbożnej rozpaczy. Posłyszał o powrocie cudownym młodego hrabiego Feliksa i lękał się sądu na siebie, wyroku — nędzy i zbezczeszczenia. Znaleziono go powieszonego wśród gruzów swojego zamczyska.

Do głębi duszy wzruszony hrabia Robert przy jego zawołał trupie:

— Patrzcież! Tak Bóg Wiekuisty, własną zgryzotą sumienia karze występnych! A po niezbadanych drogach opatrzności zbawczej sprawiedliwych prowadzi! Bóg Wszechmocny srogi wydał wyrok, lecz sprawiedliwy!

Iwan otrzymał przebaczenie hrabiego. Pozostał w Sokolniczu i z niezrównanę wiernością służył mu do końca życia swego.

KONIEC.

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Dokończenie.)

Nowa nadzieja, że przecież szalone swoje pragnienie zemsty zaspokoi, wykrzywiła twarz dozorcy i z podniesionym nożem przysunął się znowu do Emeryka, który wszystkie swoje myśli skierował ku Bogu wierząc, że ostatnia godzina poczyna wybijać. Banu jednak raz jeszcze wyciągnął swe ręce zasłaniając białego młodzieńca i przemówił głosem podniesionym: "Białego Massy strzeże Banu, więc ktoby go dotknął się, zginąć musi!"

Równocześnie dał znak stojącym tuż obok towarzyszom. Ci kołem otoczyli Emeryka, a każdy z nich wyglądał tak, jakby chciał dozorcy powiedzieć: prędzej dam porąbać się w kawały, aniżeli Massę powierzonego mi przez dowódcę wydam.

Tymczasem zgromadzili się i inni dowódcy około Banu i dozorcy, i żądali wytłumaczenia.

"Banu będzie mówić!', zawołał murzyn językiem przez nich używanym. "Białego tego młodzieńca napotkał Banu w lesie i chciał go zabić. Ale talizman, jaki mu Ginga dała uratował go. On jest przyjacielem czarnych i Banu przyrzekł mu, że go oszczędzać i bronić będzie. Dał mu nawet trzy pióra ze swej korony. Gdyby Banu był wiedział, że on to jest, którego ten człowiek chce zgładzić, nie byłby nawet chwytał za broń i opuszczał lasu, chyba ażeby bronić tego białego młodzieńca. Przyrzekłem najprzód to, a potem dopiero zachcenie tego człowieka wypełnić i Banu dotrzymuje słowa. Młodzieniec ten niemoże być pokrzywdzony ani na życiu, ani na majątku. Dlatego odnieście zrabowane skarby tam, skąd zabraliście je, a potem przygotujcie się do powrotu w lasy. Nie ociągajcie się. Banu mówił, i Banu tak chce!"

Skutek, jaki ta mowa naczelnego dowódczy wywarła na podwładnych, nie odpowiadał w zupełności jego zamiarom. Na białym młodzieńcu nic im nie zależało, pozostawiliby go nietkniętym, a może nawet i bronili przed prześladowcą Mikołajem, lecz kazano im zwracać zrabowane kosztowności, a to rozbudziło w ich sercach dzikich i żądnych łupu skłonność do nieposłuszeństwa. Mruczenie dało się słyszeć ze wszystkich stron, a silna postać Banu wyprostowała się, i spojrzała gniewnie.

"Posłuszeństwo! — zawołał głosem silnym Banu — rozkazuję."

Czarni ociągali się jakoś, gdy w tem ktoś z tyłu zawołał: "Nie słuchajcie go! on jest przyjacielem białych, i jako taki nie powinien być dłużej naszym naczelnym dowódcą. Co nas może obchodzić jego przyrzeczenie. Zabijcie go!

"Zabijcie go! zawołał także dozorca i pierwszy uderzył obrońcę młodzieńca, którego nienawidził.

Piorun błysnął w ciemnych oczach Banu, kiedy spojrzał na znieważającego go Mikołaja. Nie podniósł jednak

ażeby odpłacić uderzenie, a tylko zawołał: "Zabijcie tego, on waszego dowódzcę obraził!"

Żadna ręka nie podniosła się na dozorcę, żadną cięciwę nienaciągnięto, ani jednej strzały nie wypuszczono, ażeby pomścić dowódzcę, natomiast on sam został ze wszystkich stron napadnięty i tylko mała garstka wysilała się bronić go.

Bój gwałtowny zawrzał w tej chwili. Banu podniósł także topor na zbuntowanych, a dzikie jego nawoływanie rozpłomieniało coraz bardziej serca wiernych towarzyszy. Emeryk pochwycił również za broń i przycisnąwszy się do Banu, walczył przy jego boku ze zbuntowanymi murzynami, a tymczasem Mikołaj wytężał się, aby dosięgnąć młodzieńca i toporem głowę mu rozwalić.

Jakkolwiek z prawdziwem męstwem i lekceważeniem śmierci walczyli zwolennicy Banu, liczba ich jednak była zbyt małą, aby podołać mogli stokroć liczniejszym przeciwnikom. Lecz nadeszła pomoc, której ani Banu, a już co najmniej Emeryk spodziewał się. Drzwi obleganego domu, na które teraz nikt uwagi nie zwracał otwarły się niespodziane, i rój oblężonych z panem Wanderstraten i Herkulesem na czele wypadł, a równocześnie sto strzałów padło na zbuntowanych. Ci przycupnęli, a Emeryk ożywiony najlepszemi nadziejami wołał radośnie: "Naprzód, naprzód moi przyjaciele zwycięstwo będzie nasze!"

W okamgnieniu nabito powtórnie strzelby i dano po raz drugi salwę, która znaczną liczbę nieprzyjaciół powaliła. W tejże samej chwili posłyszano za plecami głośny okrzyk: hurah! a zaraz potem padły strzały karabinowe i nikt nawet nie wiedział ktoby to strzelał. Niebawem jednak została zagadka rozwiązaną. Z prawej bowiem i lewej strony poczęły cisnąć się oddziały wojska i łączyć z owem gronem, pośród którego walczył Emeryk. Czarni nieprzyjaciele ujrzeli się ze wszystkich stron otoczeni. Paniczny przestrach ogarnął ich. Krzycząc przeraźliwie rzucali broń i ratowali się ucieczką. Jak cienie czarne przemykali pomiędzy rzędami wojska. a z taką szybkością, że wkilku minutach byli już w odległości, gdzie ich kula dosięgnąć nie mogła. Dozorca Mikołaj starał się również umknąć. Ale zaledwie dostał się do niedalekiego krzaku, za którym jak mniemał bezpiecznie będzie mógł ukryć się, gdy ktoś nas chybi trafi strzelił, kula trafiła go, i padł na ziemię nieżywy. Stało się to w tejże samej chwili w której pan Wanderstraten i Emeryk połączyli się w uścisku, a Herkules uradowany wołał: Victoria! bitwę wygraliśmy i Massa żyje mimo dozorcy i dzikich nieprzyjaciół!"

Uściskawszy się, pospieszyli wuj i siostrzeniec do porucznika dowodzącego wojskiem tak szczęśliwie i na czas przybyłem, i od porucznika w odpowiedzi na zadane pytanie dowiedzieli się, że jeden z niewolników umknąwszy zeszłej nocy dopadł ich i usilnie prosił, aby pospieszyli z pomocą oblężonym. Podwoiwszy więc krok powrócili, a zastawszy tłumiących się przyjaciół i nieprzyjaciół, uznali za stosowne przyłączyć się również do boju i w ten sposób przyspieszyli pomyślne zakończenie całej sprawy.

"A gdzież ten wierny niewolnik, który was tutaj sprowadził?" zapytał pan Wanderstraten.

Młody murzyn z uśmiechniętem obliczem wystąpił teraz i pochylił się przed panem Wanderstraten, który uprzejmie począł mu przypatrywać się. "A widzisz siostrzeńcze, że i ja mam także wiernych murzynów, a którzy nie są chrześcianami!" mówił pan Wanderstraten.

Emeryk zaśmiał się i zapytał młodego murzyna: "Pompejus powiedz nam w kogo wierzysz?"

"W dobrego Boga w niebie i Jezusa Chrystusa, który umarł i za biednych murzynów także!" odpowiedział Pompejus, patrząc lękliwy wzrokiem na ostrego właściciela.

Pan Wandertraten nie wyglądał jednak wcale, jakoby przeląkł się tej odpowiedzi, a tylko był nią niespodzianie zaskoczony. "Zaprawdę siostrzeńcze — przemówił po chwili — ja coraz bardziej przekonuję się, że byłem w błędzie!" A zwracając się do murzynów zawołał: "Moje dzieci! przekonaliście wy mię o waszej wierności i przywiązaniu, więc i ja was chcę przekonać, że nie

jestem niewdzięcznym. Darowuję wam wolność i każdemu z was tyle ziemi, aby mógł na niej wybudować nietylko chatę, ale zarazem ażeby z owoców tej ziemi mógł utrzymać się. Ażebyście zaś mieli własnego księdza, któryby was dalej pouczał i kościół w którym moglibyście modlić się, będzie również mojem staraniem!"

Murzyni nie posiadali się z radości, Emeryk zaś rzucił się stryjowi na piersi i ściskając go serdecznie zawołał: "O Boże dzięki Ci, żeś nam nasłał na kark nieprzyjaciela, poznałem bowiem w tym wypadku, jakiego poczciwego mam wuja!"

"Ja zaś jakiego wiernego roztrzepańca!", odpowiedział pan Wanderstraten śmiejąc się "Dzięki niech będą niebu, że pokierowało wszystkiem dobrze na naszą korzyść! Ale cóż stało się z tym podłym zdrajcą Mikołajem?"

"Jeżeli widzę dobrze, wloką go tutaj" odpowiedział Herkules na zapytanie.

"A to dobrze, osądzimy go więc zaraz, ale ostro!" rzekł pan Wanderstraten. "Przyprowadźcie go tutaj!"

"Bóg go już osądził!" odpowiedział Emeryk poważnie. "Dusza uleciała już z ciała."

Pan Wanderstraten schylił się, a jedno spojrzenie przekonało go już, że Emeryk dobrze widział. Wzruszony do głębi zawołał: "Oto palec Boży! on przyszedł tutaj, ażeby nas pozabijać, a oto patrzcie, kula trafiła w jego własne serce. Tak nagradza Pan tych, którzy pragną złego. Lecz pokój popiołom jego. Nie sądźmy umarłych, bo Ten w górze nad nami, położy czyny ich na wagę i rozstrzygnie wedle swojej mądrości."

Ciało dozorcy zabrano i poniesiono za chwilę dalej, a Emeryk zwrócił się do naczelnego dowódzcy czarnych, Banu, którego obronie zawdzięczał życie. Podziękowawszy, prosił go ażeby pozostał wraz z wiernym swoimi towarzyszami w plantacyi wuja, zapewniając, że tenże otoczy go wszelkiem staraniem, ażeby więc zaniechał powrotu do lasu, gdzie go czeka niezawodnie zemsta zbuntowanych murzynów. Banu jednak odpowiedział na to z dumnym uśmiechem: "Banu nie obawia się ich, oni boją się Banu! Banu wszystkich ukarze za bunt. Biały niechaj żyje zdrów. Banu pozostanie i nadal wolnym i odchodzi."

Uścisnął rękę Emeryka, i po kilku minutach znikł wraz z wiernymi swoimi towarzyszami. Z żalem spoglądał Emeryk za odchodzącym.

"Szlachetne serce bije w piersi tego czarnego!" zawołał. "W istocie on sam wysłużył już mając wzgląd na to, co nam tu uczynił, ażeby odtąd obchodzono się łagodnie z biednymi niewolnikami."

"Zapewniam, że w mojej plantacyi, żaden z nich nie będzie miał więcej powodu uskarżać się na zbyt ostre postępowanie," dodał pan Wanderstraten. "Odtąd pragnę pozostać dobrym przyjacielem moich niewolników i nie chcę być więcej hardym ich właścicielem."

"A wierne przywiązanie tychże nagrodzi to sowicie, najlepszy mój wuju!" zawołał Emeryk. "Noc dzisiejsza, niechaj będzie jednym tego dowodem, a niebawem przekonasz się jeszcze lepiej, że pomiędzy czarnymi chrześcianami znajdują się tak samo dzielni i prawi ludzie, jak pomiędzy białymi, którzy tamtymi pogardzają. Wiara bowiem w Boga i zachowanie przykazań jego robią z nas wiernych, kochających prawdę, rzeczywistnych ludzi, nie zaś skóra, czy ona czarna, czerwona lub biała!"

* * *

Dnia następnego przekonano się, że wszelkie ślady spustoszenia, jakie sprawił nieprzyjaciel dadzą zatrzeć się bez wielkich trudów. W przeciągu kilku tygodni odbudowano spalone chaty murzynów, a potratowane grządki zasadzono na nowo. Zresztą nie było znaczniejszej szkody, bo nawet i ta część skarbów, która miała największą wartość, a mianowicie złoto i drogie kamienie, które przechowywano w sklepionym składzie, znaleziono w kieszeniach dozorcy. Dozorca pochwycił je, zanim zaprowadził nieprzyjaciela do składów. Zbiegli murzyni powrócili także, a tak więc straty, na które mógłby uteskiwać pan Wanderstraten, były zbyt małe.

Mimo to wszystko pan Wanderstraten nie czuł się już obecnie tak zadowolonym,

jak dawniej. Całymi dniami stał mu nieprzyjaciel przed oczami, w nocy trapił go we śnie, a ilekroć spojrzał na góry, pomiędzy któremi w kryjówkach i gęstwinie siedział ten nieprzyjaciel, wzrok jego i twarz zdradzały, że trwoga i obawa trapią go. A jak to łatwo stać się może, że nieprzyjaciel chciwy łupu, zatęskniwszy za skarbami jego, wypadnie znowu, i znowu grozić mu będzie temi obrzydliwemi zatrutemi strzałami?

"Siostrzeńcze" — zagadnął dnia pewnego Emeryka — "czy ty w rzeczy samej chciałbyś wracać do Europy?"

"Tak jest wuju, a osobliwie, gdybyś ty zdecydował się odprowadzić mię" odpowiedział Emeryk śmiejąc się. "Nie przeniósłbym bowiem tego na sobie, ażebym tu ciebie samego pozostawił nieprzyjacielowi!"

"A więc dobrze chłopcze, pojedziemy razem!" mówił pan Wanderstraten zdecydowany. "Nie dowierzam bowiem coś bardzo temu pokojowi zawartemu z dzikimi, a Banu, przyjaciel nasz umrzeć może tak samo, jak inni ludzie. Kupiec na plantacye moje znalazł się już, a więc w imie Boże spróbujemy raz jeszcze jakie to tam życie, w tym starym kraju."

"Ale Herkules pojedzie z nami również, nie prawda wuju?"

"Naturalnie, jeżeli tylko zechce!"

"A więc na drugi tydzień odjeżdzamy!" zawołał Emeryk radośnie. "Precz z tego kraju spieki słonecznej do ukochanej ojczyzny, w objęcia najlepszej matki! O jakże ona ucieszy się, gdy ciebie obaczy mój wuju!"

Tydzień później odbijali od brzegów amerykańskich pan Wanderstraten, Emeryk i Herkules, a po sześciu miesiącach zawinęli szczęśliwie do portu w Europie. Jak długo trwało lato, pan Wanderstraten był zadowolony, a nawet bardzo. Przyznawał, że gorąco tu znacznie mniejsze, jak w Surinam, gdzie mu nieraz dokuczyło, przyznawał, że drzewa tu w Europie podobnie zielone jak tam a cień tych drzew tak samo jak tam chłodzi i orzeźwia, nie tęsknił więc wcale za swoją plantacyą. Gdy jednak nadeszła zima ze zawiejami śniegowemi i lodami, gdy niczego więcej zielonego nie obaczył, jak tylko kwiatów kilka z cieplarń, a nadto tulić się musiał po całych dniach do pieca, począł mruczeć i omal że nie żałował zamiany jakiej dokonał, przesiedlając się z Ameryki do Europy. Emeryk milczał i długi bardzo czas pozwalał mu tak mruczeć, gdy jednak razu jednego tego mruczenia było za wiele, zapytał go, uśmiechając się: "Wuju z dwóch oblężeń które wolisz, czy dzisiejsze europejskie, ze śniegu, czy amerykańskie, kiedy nas obległ dziki nieprzyjaciel z lasów?"

Pan Wanderstraten skrzywił się najprzód na to zapytanie, a następnie zaśmiał się. "Nie ulega wątpliwości, że zima w Europie milszą mi jest, jak owi chciwi krwi i dzicy czarni z lasów surinamskich. Nie ma o tem co i więcej mówić!"

Od tego czasu nie mruczał już nigdy, powoli pogodził się z dzisiejszym stanem rzeczy, i żył długie jeszcze lata szczęśliwy i zadowolony. Owe zapytanie Emeryka, a zarazem przypomnienie groźnego nieprzyjaciela wypłoszyło wszelką tęsknotę za plantacyami surinamskiemi i od tego też czasu nie pomyślał już nigdy o powrocie za morze.

A tak wszyscy byli zadowoleni: Pan Wanderstraten, ponieważ niepotrzebował więcej obawiać się napadu dzikiego nieprzyjaciela z lasów; Emeryk, że mógł pracować i nieść pomoc sędziwej matce, i przyjaciel jego Herkules, który czuł się prawdziwie szczęśliwym widząc, że go Emeryk tak samo kocha, jak dawniej.

Nie gorzej wiodło się czarnym chrześcianom za morzem. Wierność, jaką okazali podczas oblężenia stała się przysłowiem w całym kraju, a wzorowe prowadzenie się odszczególniało ich bardzo korzystnie od reszty murzynów. Bardzo mała tylko liczba plantatorów nie poszła w ślady pana Wanderstraten. Wszyscy inni polecili sami księżom, aby nauczali niewolników religii chrześciańskiej, i nigdy nie słyszano, ażeby kiedykolwiek żałowali, że wydali to polecenie. Niewolnicy — chrześcianie bowiem byli najpilniejszymi, najcnotliwszymi i najwierniejszymi w całym kraju surinamskim i na nich to przekonano się raz jeszcze, że religia chrześcińska jedyną jest, która wiedzie do zbawienia, jedyną która sprowadza błogosławieństwo wszędzie, gdziekolwiek tylko wiekuiste jej prawdy w serca tkliwe wszczepione zostaną, i gdzie uszczęśliwiające jej nauki ochoczo bywają słuchane, a mądre przykazania jak najściślej zachowywane. Bo kto wierzy słowom Boga, ten zachowuje przykazania jego. —

KONIEC.

FR. HOFFMAN.

TEN CO PO NAD OBŁOKAMI.

Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół.

PRZEŁOŻYŁ.

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

I.

O WŁASNYCH SIŁACA.

W starem i sławnem mieście Halli, gdzie zawsze mnóstwo młodzieży uczęszcza na wykłady uniwersyteckie, był przed niespełna trzydziestu laty pomiędzy uczniami wydziału prawniczego, jednym z najbardziej wzorowych i przyzwoitych Maksymiljan Klinger. Wszyscy znajomi lubili go, a przyjaciele utrzymywali, że niema lepszego chłopca na całej kuli ziemskiej.

Było w tem niezawodnie nieco przesady, bo młodzież nie zna miary, kiedy chwali i niezwykła w takich razach ważyć słowa, które wypowiada; mimo to niepodobna nieprzyznać, że Maksymiljan Klinger w rzeczy samej bardzo korzystnie wyróżniał się pomiędzy kolegami. Nie był bowiem ani opojem ani zawalidrogą, nie obijał nigdy stróżów nocnych i nienazywał poczciwych mieszczan "filistrami" jak to inni studenci, szydząc z nich zwykli byli czynić, niewłóczył się po osławionych szynkowniach, ani też zachodził na tak samo osławione zabawy tańcujące. Natomiast bardzo pilnie uczęszczał na wykłady, pracował następnie jeszcze godzin kilka w domu, i dopiero potem, kiedy już wypełnił wszystkie swoje obowiązki sumiennie, spieszył do przyjaciół, ażeby się wraz z nimi zabawić. Diem perdidi — dzień cały zmarnowałem — mógł on rzadko kiedy powiedzieć, jakkolwiek niepotrzebował nawet podobnie pilnie, sumiennie i po całych dniach przykładać się do nauk. Tak przynajmniej sądzili jego znajomi i zawsze czynili mu zarzuty, ilekroć niechciał z nimi wybrać się na wycieczkę, lub innej jakiej odmówił sobie przyjemności, ażeby tylko na dzień a może i dwa nieoderwać się od pracy, od nauki.

"Jesteś za nadto gorliwym, przesadnie pilnym — mówili oni do niego dąsając się — a nieczynisz tem wcale przyjemności bogatemu twojemu wujowi. Wszakże to on sam opowiadał nam kiedy cię razu ostatniego odwiedził, że pragnie, ażebyś więcej używał życia i mniej, tak dotychczas stronił od owych wszystkich uciech, jakich możesz zaznać tylko w młodym wieku."

I tak było w rzeczy samej, Maksymiljan nieprzeczył temu, mimo to jednak zwykł był zawsze po podobnej gadaninie ruszyć ramionami i dodawać: "Czyń każdy, jak mu się podoba! Ja wam nigdy nieprzeszkadzam, pozostawcie więc i wy mnie w spokoju."

Był może, że przyjaciele nie byliby się byli zadawalali taką odpowiedzią i byliby może nawet jeszcze więcej natrętnymi, gdyby Maksymiljan nie był potrafił wzbudzić w nich dla siebie poszanowania. Kochali go też wszyscy za zawsze dobry humor i za hojność, cenili za wypróbowaną uczciwość i poważali za odwagę i stałość charakteru, jakich niejednokrotnie dał dowody. To też pozostawili go w końcu w spokoju i niezapraszali więcej na różne zabawy.

Jeden tylko z nich niezadowolił się taką odpowiedzią, a tym niezadowolonym był właśnie najbliższy Maksymiljana przyjaciel. Konstanty Brause, chłopiec podobnie zuch

jak Maksymiljan, tylko o wiele więcej lubiący rozrywki i przyjemnostki, jak ostatni. Ten znając dobrze jego stosunki i wiedząc, że kiedyś odziedziczy cały majątek bogatego wuja, w żaden sposób nieumiał sobie wytłumaczyć jaki może być powód ociągania się Maksymiljana od zabaw.

"Warjatem jesteś — rzekł on do niego dnia pewnego, kiedy tenże otrzymawszy zaproszenie, ażeby wziął udział w wycieczce do Rudelsburgu koło Naumburgu, ulubionego miejsca studentów z Halli, znowu odmówił — gniewaj się albo niegniewaj, ale warjatem jesteś skończonym. Wytłómacz mi, proszę cię na miły Bóg, dlaczego takie pustelnicze prowadzisz życie. Wuj zaopatrza cię w pieniądze podostakiem, sam jesteś zdrowym i hożym, wiesz dobrze, że prawdziwą nam robisz przyjemność zawsze, ilekroć towarzyszysz nam na wycieczce, a mimo to ociągasz się i kryjesz jak jamnik pomiędzy temi czterema ścianami. Proszę cię więc raz jeszcze, wytłómacz mi, co to wszystko ma znaczyć.

"Dobrze mój Konstanty, chcę szczerze o tem z tobą pomówić — odpowiedział Maksymiljan spokojnie i powoli, a niebieskie oczy jego, któremi spoglądał na przyjaciela, przekonywały, że poczciwie chce to uczynić. — Ty wiesz wprawdzie, jakie stanowisko zajmuję w obec starego, dobrego wuja, lecz niewiesz jakie w obec reszty mojego rodzeństwa. Poczciwy wuj Karol jest jedyną moją podporą, i nieulega wątpliwości, że jak długo on żyć będzie, niezabraknie mi niczego i że nie będę potrzebował znikąd inąd pomocy. Ale reszta krewnych! Kiedy zacny ojciec mój zasnął na wieki, przekonano się, że majątek jego nieznajdował się wcale w tym świetnym stanie, jak sobie powszechnie wyobrażano. To co pozostawił, wystarczyło, ażeby długi jego popłacić, a ja podówczas chłopię liczące lat czternaście, znalazłem się w tem położeniu, że niemiałem ani feniga jednego, ażeby sobie bułkę kupić. Zewsząd słyszałem słowa pociechy. "Masz majętnych krewnych — mówiono mi — oni się zajmą tobą. Tutaj mieszka ciotka twoja, pani Berndt bezdzietna wdowa, ta niechybnie przyjmie cię w domu swoim, jakby własne dziecię." — W rzeczy samej ciotka Berndt mieszkała w tem samem miejscu, gdzie jak ci wiadomo, zacny ojciec mój był radcą. Jak długo ojciec żył, była ona dla mnie zawsze uprzejmą, i nieraz obdarzyła mnie kawałkiem placka lub innym jakiem łakociem, które dzieci tak lubią. Była ona jednak uprzejmą, nie bez przyczyny. Oto ojciec mój zarządzał całem jej majątkiem, który był znaczny, a zarządzał bardzo sumiennie i niebiorąc ani złamego szeląga za to wynagrodzenia, — więc ciotce Berndt musiało się to podobać i dla tego od czasu do czasu, wywiązując się z długu wdzięczności okazywała mi życzliwość, była dla mnie uprzejmą, pieściła mię. Wolno były czasami godzinkę pobawić się z jej kotami i papugami, a nadto jak już wspominałem obdarzała mnie niekiedy karmelkiem, lub kawałeczkiem tortu. Wszystko to jednak ustało zaraz w chwili, kiedy ojciec zasnął snem wiecznym. Ojciec niemógł już być jej usłużnym dalej, więc i wszystko natychmiast zmieniło się, a kiedy opiekun mój wraz zemną poszedł do niej i prosił, ażeby mi zastąpiła miejsce matki i przyjęła w dom swój, twarz jej pokryła się tysiącami fałdów spojrzała na mnie wzrokiem pełnym złości i krzyknęła:

"Tego mi jeszcze potrzeba, ażeby ten wisus po całych dniach hałasy tutaj wyprawiał, — dzisiaj, kiedy już przekonałam się, że zacny ojczulek jego, gospodarując źle, naraził mnie na utratę niejednego tysiąca! Nie, nie, ja niechcę o nim ani wiedzieć, ani słyszeć — tu są drzwi, i niechaj hultaj ten więcej mi się tu niepokazuje!"

Ten brak serca u ciotki niezasmucił mnie wcale, znałem bowiem jej skąpstwo, wiedziałem że jest samolubna. Że się jednak poważyła w obecności mojej posądzać ojca o nierzetelność, tego jakkolwiek byłem bardzo młodziutki w żaden już sposób ścierpieć niemogłem.

"To kłamstwem jest ciotko, jakobyś przez ojca mojego na jakiekolwiek narażoną została straty — zawołałem oburzony. — Jesteś nędzną patwarczynią."

Słowami temi położyłem kres wszystkiemu i odtąd już niemogłem się spodziewać od niej żadnej łaski, żadnej pomocy.

"Za drzwi! za drzwi!" — krzyknęła na-

to ciotka, cała czerwona i trzęsąc się od gniewu. Wszelkie starania opiekuna, ażeby ją bodaj nieco ułagodzić, były nadaremne, to też niepozostało nam w końcu i nic innego, jak tylko wydalić się z jej domu.

Prawdę opowiedziawszy, cieszyłem się wychodząc, że się sprawa z ciotką tak zakończyła, gdyż od dawna była mi wstrętną jej postać harda, wychudła i odtrącająca. A zresztą nie było czego, choćby i dlatego tylko rozpaczać, że miałem innych jeszcze, o wiele od niej majętniejszych krewnych, a mianowicie: właściciela fabryki Western i bogatego bankiera Frankiego w stolicy. Obydwa ci panowie odwiedzali dawniej często bardzo ojca i każdego razu zapewniali go o szczerej, niezłomnej przyjaźni, co niejednokrotnie sam na własne uszy słyszałem. Ci więc niezawiodą całkiem pewnie oczekiwań. Jeden, albo drugi, a może obydwa przytulą do siebie niechybnie sierotę — jedynaka, pozostałego po najlepszym przyjacielu i stryju i obsypią go dobrodziejstwy. O gdyby niepopadli tylko w sprzeczkę jeszcze, kto ma być pierwszym! — Lecz obawy takie, jak się niebawem okazało były zupełnie zbyteczne, bo na listy opiekuna nadeszły odpowiedzi, jakich się nigdy niebyłbym spodziewał. Stryj Western odpisał, że "ponieważ fabryka wszystek czas mu zajmuje niepodobna mu zająć się wychowaniem cudzych dzieci, dołącza więc do listu dwadzieścia talarów, które na ten cel mają być użyte." Stryj Franke zaś odpisał jeszcze króciej: jestem kawalerem i jako taki niemogę nic uczynić." I na tem koniec!

Trudno było po tych odpowiedziach zdobyć się na jakąś dobrą radę i opiekun mój znacząco pokiwał głową.

"Biedny chłopcze, biedny chłopcze — rzekł on do mnie — co się z tobą stanie, co z ciebie będzie? Niepozostanie chyba nic innego, jak oddać cię do jakiego rzemiosła!"

Wyznaję, że niebyło mi to wcale przyjemnem, co jednak było czynić, potrzeba było zgodzić się i poddać się chętnie czy niechętnie swojemu losowi. Przykrem mi to było, że ja syn powszechnie szanowanego radcy, może już niebawem rozpocznę się sposobić do zawodu szewskiego Pocieszałem się jednak tem, że lepiej zostać szewskim chłopcem i jako taki żyć, aniżeli umrzeć z głodu jako żebrak.

Nagle, jakby od Boga zesłana, zjawiła się nowa osoba na widowni i rozświetliła ciemnie, jakie osłoniły życie moje. Osobą tą był dobry wuj mój Freiberg. Ponieważ dobra jego zdala od rodzinnego mojego miasta się znajdowały, a z ojcem rzadko kiedy on się znosił lub stykał, więc ani na myśl nam nieprzyszło, żeby się i do niego udać. Na szczęście jednak moje, z gazet dowiedział on się o śmierci ojca i zaraz potem przyjechał, ażeby przekonać się, co się zemną dzieje. Wiedział on dobrze, że ojciec majątku zostawić mi niemógł, to też poczciwe serce nagliło go, ażeby czemprędzej zajął się losem biednego, sieroty.

Przybył w sam dobry czas. Dowiedziawszy się, jak krewni sobie ze mną postąpili, oburzył się i nie bardzo pochlebnie wyraził się o nich. Stryjowi Western odesłał natychmiast ową jałmużnę w ilości dwudziestu talarów, poczem zabrał mnie do powozu i powiózł do prześlicznych dóbr swoich.

Odtąd niepotrzebowałem już wprawdzie o nic troszczyć się, gdyż zacny wuj mój troszczył się o wszystko dla mnie i kochał mnie jak chyba ojciec własnego syna kochać potrafi. Mimo to jednak nieczułość krewnych, jakiej doznałem, zrodziła w piersiach moich żądło, którego niepodobna było i teraz się pozbyć. Jakkolwiek bardzo młody byłem jeszcze pod ów czas, a jednak ta nieczułość dotknęła mnie bardzo boleśnie. Lecz była ona dla mnie zarazem i nauką, pouczyła mnie, że nie należy polegać na nikim, jak tylko na Bogu i samemu sobie. Pan Bóg dopomógł mi przez dobrego mojego wuja, teraz zaś — nasunęło mi się na myśl i tak samo nasuwa do dzisiaj — przyszła kolej na mnie starać się, ażebym kiedyś stanął o własnych siłach. Tak zapatrując się, korzystałem odtąd z każdej sposobności, jaka nadarzała się byleby tylko kształcić się. "Ty musisz w przyszłości stanąć o własnych siłach — powtarzałem sobie każdego dnia i tak samo powtarzam dzisiaj jeszcze. — Wuj Freiberg postąpił sobie z tobą jakby ojciec, na tobie więc cięży teraz obowiązek okazać mu swą wdzięczność, a okażesz ją najlepiej, jeżeli dłużej

niebędziesz mu ciężarem, tylko postarasz się stanąć o własnych siłach."

Oto powód mój Konstanty, dla czego nie chcę brać udziału we wszystkich niepotrzebnych, zbytecznych a zarazem kosztownych rozrywkach. Nie czuję się być uprawnionym do wyrzucania pieniędzy poczciwego mojego wuja przez okna, a natomiast czuję się zobowiązanym do wypełniania najściślejszych moich powinności, ażeby wuja uwolnić od troski o moją przyszłość, od owej troski która mu może bardziej dolega, aniżeli to daje po sobie poznać. Nu a teraz powiedz mój Konstanty — czynię ja dobrze, czy źle, czy mam słuszność lub nie?"

Konstanty pochwycił rękę przyjaciela i uścisnął ją z niebywałą dotychczas serdecznością.

"Zacnym jesteś chłopcem — rzekł po chwili głosem wzruszonym. — Za to twoje ociąganie się szanuję cię i poważam jeszcze więcej i nigdy już nie zrobię ci za nie żadnego zarzutu. Zachowaj tylko dla mnie dotychczasową przyjaźń! potrafię ją ocenić i uczcić jak należy."

Maksymiljan odwzajemnił uścisk ręki, poczem obydwa młodzieńcy uściskali się powtarzając po kilkakroć zapewnienia dozgonnej przyjaźni.

Od tej chwili miał już Maksymiljan w rzeczy samej spokój, nieprzeszkadzano mu i nie odrywano od zwykłych codziennych zajęć. To też uczył się pilnie i gotował, ażeby jak najrychlej osiągnąć cel zamierzony, mówiąc, aby stanąć o własnych siłach

---

II.

ZNISZCZONE NADZIEJE.

Człowiek strzela, a pan Bóg kule nosi. Zaledwie kilka tygodni upłynęło od owej chwili, w której Maksymiljan poczynił te poufne zwierzania przed Konstantym, a już wydarzył się wypadek smutny, który od razu wszelkie widoki i nadzieje biednego Maksymiljana zupełnie i jak się zdało na zawsze zniszczył. Konstanty był właśnie wtenczas u niego, kiedy listonosz wszedł do pokoju i oddał Maksymiljanowi jakieś pismo, zapieczętowane czarną pieczęcią. Maksymiljan zapłacił należytość pocztową i po oddaleniu się listonosza otworzył niezwłocznie takowe. Zaczął czytać, a podczas tego trupia bladość pokryła oblicze jego, ręce zaczęły się trząść, oczy napełniły się łzami, które po bladych policzkach spływały, aż w końcu krzyknął straszliwie, opuścił list, zakrył twarz rękami i począł jęczeć boleśnie.

"Na miły Bóg Maksiu, powiedz co się stało? — zawołał Konstanty przestraszony, rzucając się na szyję przyjacielowi — czyś otrzymał jakie złe wiadomości? Mów, błagam cię!"

Maksymiljan wytężając wszystkie siły podniósł się i podał list Konstantemu. "Czytaj sam — rzekł głosem chwiejnym. — Najboleśniejsza to wiadomość, jaka mnie kiedykolwiek dojść mogła."

Konstanty porwał jak najspieszniej list i zaczął czytać pogłosem: "Czuję się zobowiązanym podzielić z szanownym panem tą smutną wiadomością, że podobało się Najwyższemu, właściciela dóbr Ernesta Frejberga a wuja jego, nagle z tego świata odwołać. Przed kilku dniami, był on jeszcze zupełnie zdrów i dopiero zeszłej nocy apopleksya położyła kres jego życiu. Ponieważ znam dokładnie stosunki, jakie panów łączyły, uważałem za powinność moją zawiadomić pana o tym boleśnym dla niego wypadku, a zarazem donieść, że zmarły niepozostawił żadnego rozporządzenia co do majątku swego, który jak panu wiadomo, jest znaczny bardzo. Z polecenia sądu przejrzałem dokładnie wszystkie papiery pozostałe po zmarłym, nieznalazłem jednak pomiędzy nimi nic takiego, coby było podobnem do testamentu, jakkolwiek zmarły rozmawiając ze mną dawniej, niejednokrotnie wspominał, że będziesz jednym spadkobiercą jego. Jeżeli więc posiadasz jakiekolwiek pismo wuja, któreby przekonywało, że spadek dla pana jest przeznaczony, w takim razie dobrze uczynisz, jeżeli z niem tu przybędziesz, ażeby udowodnić, że spadek panu, a nie komu innemu się należy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEŚLADOWANA

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE DLA SCENY POLSKIEJ

EDMUNDA DRZEWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Gustaw.

Dziś po objedzie wszedłem do niej niepodzianie i zastałem! stryja to nie do uwiezenia, zastałem u niej męzczyznę! męzczyznę! męzczyznę!

Piotr.

Jak? to trzech męzczyzn?

Gustaw.

Gdzie tam! jednego ale jakiego!

Piotr.

Mój drogi nie bądź że nudnym! Zastałeś więc u niej męzczyznę takiego jak wszyscy, wysoki, niski czarny blond, szatyn, rudy...

Gustaw *(bierze go za rękę.)*

O nie! nie! On nie był czarnym blondynem szatynem rudym. Ale to był niebieski w czerwonymi wykładami.

Piotr.

Aj! do djabła!

Gustaw.

Wszedłszy, rzuciłem na niego wzrokiem piorunującym.

Piotr.

No naturalnie, że on na ciebie także rzucił.

Gustaw.

Tak rzucił, ale zrzucił mnie ze schodów.

Piotr.

Jak to i ty pozwoliłeś na to?

Gustaw.

Nie mogłem przecie szkandalu robić. Ale jak się spotkam z nim sam na sam w ogrodzie, w ale,i w zwierzeńcu (*wstrząsając Piotrem*) to go z mosakruję, uduszę, jak się tylko w moje ręce dostanie!

Piotr.

Chłopcze! czyś oszalał puścisz ty mnie zaraz!

Gustaw.

Muszę się zemscić na czemś! (*Chodzi szybko*) *wywracając krzesla, książki, figurski; Piotr chodzi za nim i ustawia znów wszystko.*) Drzyj niewierna! Zobaczymy panie poruczniku kto z nas ostatni śmiać się będzie. Dzień zemsty się zbliża! ale straszliwie ten dzień dnieć zacznie!

Piotr.

Dajżesz pokój, nie rozbijaj mi mebli, bo będę zmuszony posłać po policyą. A tego już za wiele!

Gustaw *(spostrzega rękawiczki na fortepianie, bierze jednę damską i jednę męską, a trzymając przed nosem Piotra, damską.)*

Ha! — co to jest? Stryju!

Piotr. *(n. str.)*

A do djabła to rękawiczka tej damy.

Gustaw.

Pytam się co to jest?

Piotr.

Zdaje mi sie że to rekawiczka!

Gustaw.

Tak, ale czyja?

Piotr.

Czyja? moja! Nie jestem wcale próżny.

Gustaw *(pokazując męzką:)*

To oto jest stryja.
Możesz więc powiedzieć że to para?

Piotr *(zły.)*

No! trzech niema tylko para. Te większe noszę w dzień powszedni, mniejsze zaś w Niedzielę! Ale to ciebie wcale nic nie obchodzi! (*chowa obiedwie rękawiczki, słychać w sypialnym pokoju stukanie.*)

Gustaw.

Co to jest?

Piotr

Zapewne się krzesło wywróciło!

Gustaw.

Przecież krzesło samo się nie wywróci (*chce wnijść do sypialni.*)

Piotr *(zatrzymuje go.)*

O! moje krzesła często to robią. Nie, nie to zapewne małpa je wywróciła.

Gustaw.

Małpa? To stryj masz małpę? Wczoraj miałeś tylko papugę!—

Piotr.

E! papuga sprzykrzyła mi się i dla tego kupiłem sobie małpę!

Dama *(za sceną).*

Mój Boże!

Gustaw.

Kto tam zawołał "mój Boże".

Piotr.

To małpa.

Gustaw.

Stryj masz małpę, która "mój Boże" woła.

Piotr.

O moja małpa często to powtarza! Albo może to papuga.

Dama *(j. w.)*

Przebrzydły ptak ukąsił mnie w palec.

Gustaw.

Tak przecież czworonożne zwierzę lub ptak mówić nie może! Muszę to zbadać (*chce wnijść.*)

Piotr.

Ani kroku!

Gustaw.

Odkupię od stryja tę małpę! (*chce wnijść.*)

Piotr.

Ależ Gustawie!

Gustaw.

Ależ... Piotrze! (*Odpycha jeden drugiego nareszcie Gustaw wchodzi.*)

Piotr *(pada na krzesło ociera czoło z potu, zamiast chustką, rękawiczkami, które włożył do kieszeni.)*

Teraz mnie zarznął!!!

Gustaw. *(Wyprowadza damę z pokoju, wchodzi Bogumił z gazetą, cygarami i kawą, staje przy dzwiach).*

SCENA VI.

Ciż sami — Dama i Bogumił.

Gustaw *(Odskakując od niej.)*

Nieba co widzę — kobieta? Więc to takie przedmioty ukrywa stryj w swoim pokoju.

Bogumił.

To skandal dla całego sąsiedztwa.

Dama *(do Piotra.)*

Broń mnie pan przecież tu idzie o mó honor!

Gustaw *(do Bogumiła.)*

On w szlafroku!

Bogumił.

A ona w sypialnym pokoju!

(Ciąg dalszy nastąpi)